

## O melancholii, śmierci i bogactwie życia

Autor tekstu: **Eric G. Wilson**

Tłumaczenie: **Andrzej Szwatoński**

**Z**yjemy w złowrogich czasach. Warstwa ozonowa jest w bardzo złym stanie. W przeciągu najbliższych dekad będziemy musieli stawić czoło poważnej oceanicznej powodzi. Niebawem doprowadzimy do zagłady setek wspaniałych gatunków zwierząt. Wkrótce nasze lasy będą tak beznamiętne jak brukowana droga. Co więcej, jesteśmy na skraju nowej zimnej wojny.

Istnieje jednak inne zagrożenie, prawdopodobnie tak samo niebezpieczne. Staramy się wyeliminować ważny czynnik kulturowy, muzę, która stoi za sztuką, poezją i muzyką. Unicestwiamy melancholię.

Niedawne badanie opinii publicznej przeprowadzone przez Pew Research Center pokazuje, że prawie 85 procent Amerykanów wierzy, że są bardzo szczęśliwi albo przynajmniej umiarkowanie szczęśliwi. Środowisko psychologów jest obecnie zaaferowane nową specjalizacją, psychologią pozytywną, której celem jest szukanie sposobów podniesienie poczucia szczęścia poprzez zwiększanie przyjemności i zaangażowania, a także nadawanie sensu życiu. Psychologowie uprawiający nowy rodzaj terapii są liderami w nowatorskiej dziedzinie nauki, nauce o szczęściu. Czołowi wydawcy biorą przykład z biznesu poradnickiego i drukują tysiące książek uczących, jak być szczęśliwym. Lekarze mają w ofercie szeroki wybór leków, które mogą na zawsze wyeliminować depresję. Doprawdy wygląda na to, że czeka nas wiek prawie całkowitego zadowolenia, nowy wspaniały świat nieustającego powodzenia, radości bez zmartwień, szczęśliwości bez żadnej kary.

Dlaczego większość Amerykanów jest gotowa tak ochoczo odciąć zasadniczą część swojego serca i wyrzucić ją jako niepotrzebną? Co mamy zrobić z tą obsesją szczęścia wśród Amerykanów, obsesją, która może doprowadzić do nagłego zniknięcia twórczego impulsu, i która może skutkować kataklizmem tak strasznym jak ten zwiastowany przez globalne ocieplenie, zanieczyszczenie środowiska naturalnego i rozprzestrzenianie broni jądrowej? Co kieruje tym szaleńcym i rozpaczliwym pędem ku samozadowoleniu?

To deklarowane powszechnie szczęście nie może być prawdziwe. Jakim sposobem tak wielu ludzi może być szczęśliwych, kiedy dookoła tyle spraw nękających naszą planetę — nie tylko tych powszechnych i zwiastujących apokalipsę problemów globalnych, ale także konkretnych trudności, które przyprawiają o irytację i komplikują naszą codzienną egzystencję: problemów finansowych i sprzeczek małżeńskich, przytłaczającej pracy i samotnych poranków? Mamy uwierzyć, że czterech na pięciu Amerykanów może czuć się usatysfakcjonowanymi pośród tych wszystkich zgryzot? Może niektórzy kłamią, albo po prostu boją się odpowiadać szczerze żyjąc w kulturze, dla której *status quo* jest największą rozkoszą? Czy nie powinniśmy podchodzić z rezerwą wobec tych statystyk? Co więcej, czy nie powinniśmy obawiać się o naszą kulturę, która przywiązuje tak maniacką wagę do osiągnięcia szczęścia? Czy nie powinniśmy obawiać się, że to fanatyczne dążenie do uciech i radości prowadzi do życia niepełnego i jednowymiarowego, do beznamiętnej, zmarnowanej i mechanicznej egzystencji?

Boję się jednego — że nadmierne przywiązywanie wagi do szczęścia kosztem smutku, które dominuje w kulturze amerykańskiej, może być niebezpieczne i może skutkować bezrefleksyjnym odsunięciem na bok ważnej części pełnowymiarowego życia. Martwię się także tym, że pożądanie tylko szczęścia w świecie bez wątplenia tragicznym prowadzi do nieautentyzmu, do pojawienia się nierealistycznych abstrakcji, które ignorują konkretne sytuacje. Niepokoją mnie wreszcie wysiłki naszego społeczeństwa, które chce wymazać melancholię z pamięci. Czy bez poruszenia duszy nasza wspaniała wieża tęsknoty nie legnie w gruzach? Czy nasze serca nie zaprzestaną odgrywać swojej przejmujących symfonii?

Moje obawy wyrastają z podejrzenia, że wśród Amerykanów dominuje wyobrażenie szczęścia, które prowadzi do beznamiętności. Ten rodzaj szczęścia zdaje się lekceważyć wartość smutku. Co więcej, ten rodzaj domniemanej radości, wydaje się sprzyjać ignorancji na temat trwałości życia oraz zasadniczej różnicy między agonią a ekstazą, przygnębieniem a wzburzeniem. Usiłując zapomnieć o smutku i o jego integralnym miejscu we wspaniałym rytmie kosmosu, ten rodzaj szczęścia sugeruje, że chandra jest stanem nienormalnym, który powinien być wyklęty jako oznaka słabości woli lub usunięty z pomocą małej różowej pigułki.

Nie neguję radości w ogóle. Na przykład nie kwestionuję oszałamiającego entuzjazmu, który pojawia się nagle podczas długotrwałego cierpienia. Nie martwi mnie ten trudno osiągalny spokój, który przychodzi wraz z długim rozmyślaniem o problemach świata. Nie krytykuję tej błogości, która pojawia się i wzrasta wraz z tym, jak pomagamy cierpiącym. Nie mam także romantycznych złudzeń odnośnie depresji klinicznej. Zdaję sobie sprawę, że jest wiele zagubionych dusz, które potrzebują leczenia, aby nie zabiły siebie, albo nie skrzywdziły swoich przyjaciół i rodzin. Nie podważam sensu terapii farmakologicznych względem ludzi dotkniętych poważną depresją, albo osób z zaburzeniami biochemicznymi — terapia może sprawić, że ich życie będzie znośniejsze.

Jednakże zastanawiam się, dlaczego dzisiaj tak wielu ludzi doświadczających melancholii zażywa tabletki tylko po to, aby zmniejszyć cierpienie. Oczywiście istnieje subtelna granica między tym, co nazywam melancholią a tym, co społeczeństwo określa mianem depresji. Uważam, że tym, co odróżnia obie, jest stopień napięcia. Obie formy są bardziej lub mniej przewlekłym smutkiem, który prowadzi do trwałego niepokoju, a co za tym idzie — natarczywym wrażeniem, że coś jest z tym światem nie w porządku, że jest on miejscem przesiąkniętym cierpieniem, głupotą i złem. Depresja w obliczu tego niepokoju (przynajmniej ja tak to widzę) powoduje apatię, letarg zbliżony do całkowitego paraliżu, niezdolność do odczuwania czegokolwiek w jakikolwiek inny sposób. Dla odmiany melancholia w odniesieniu do tego samego lęku skutkuje silnymi emocjami: niepokojem serca, który prowadzi do aktywnego kwestionowania *status quo*, czy nieustanną tęsknotą do poszukiwania nowych sposobów istnienia i postrzegania.

Nasza kultura wydaje się mylić obie przypadłości, tym samym traktuje melancholię jako stan nienormalny, nikczemne zagrożenie dla wszechogarniającego wyobrażenia szczęścia — szczęścia jako natychmiastowej satysfakcji, szczęścia jako powierzchownej wygody, szczęścia jako biernego zadowolenia. Oczywiście zaraz pojawia się pytanie: Kto nie chciałby zakwestionować tej wydmuszki, tej ułudy szczęścia? Czy my wszyscy późno w nocy, kiedy jesteśmy najbardziej szczerzy sami ze sobą, nie przeciwstawiamy się tak płytko rozumianemu szczęściu? Większość pewnie tak, ale czy niemożliwym jest, aby wielu z nas dało się uwieść tej powierzchowności nie zdając sobie z tego sprawy? Czyż niektórym z nas nadzieja na ziszczenie się amerykańskiego snu nie poprzewracała tak bardzo w głowach, że uwierzyli, iż jedynym naszym celem na ziemi jest szczęście? Czyż nasze nieświadome zamiłowanie do szczęścia i przedkładanie go ponad smutek nie sprowadza naszego życia do jednego wymiaru: do rozkoszy bez bólu, do pogodnego popołudnia bez ciemności nocy?

Odnoszę wrażenie, że większość z nas została wyrolowana przez to amerykańskie szaleństwo odnośnie szczęścia. Możemy wierzyć, że prowadzimy naprawdę uczciwe życie, kiedy w rzeczywistości zachowujemy się tak przewidywalnie i sztucznie jak roboty, popadając łatwo w konwenanse i odgrywając „szczęście”. Zostaliśmy oszukani, pozbawieni możliwości interakcji ze wspaniałym, żyjącym kosmosem, jego rozświetlonym mrokiem, jego zatrważającym pięknem.

Amerykański sen o szczęściu może być koszmarem. To co uchodzi za szczyt błogości może równie dobrze być dystopią marnego uśmieszku. Nasze zamiłowanie do szczęścia sugeruje złowrogą nienawiść do wszystkiego, co rośnie, kwitnie a potem umiera. Nie chciałbym, abyśmy pewnego ranka przebudzili się i żalowali tego, co zrobiliśmy w imię beztróskiej przyjemności. Nie chciałbym, abyśmy pewnego dnia zwlekli się z naszych łóżek i aby okazało się, że okolica, po której się przechadzamy została ogołocona z uroczych, samotnych drózek i okazałych, opuszczonych hoteli zajmowanych przez na wpół oszalałych geniuszy, piszących obłąkańcze wiersze. Nie chciałbym, aby otrzeźwienie przyszło za późno.

30. listopada 1820 roku, kiedy pomarańczowa jesień spadła już na ziemię i przegniła się w zimową breję, John Keats, cierpiący na gruźlicę, która zabiła jego matkę i brata Toma, zasiadł do szkicowania listu do swojego przyjaciela Charlesa Browna. To był jego ostatni list, o którym wiemy. Między kolejnymi napadami straszego kaszlu — kaszlu, który zabarwił jego język krwią — Keats napisał to zadziwiające zdanie: „Ciągle nawiedza mnie myśl, że moje prawdziwe życie już przeminęło, a teraz wiodę życie pośmiertne.” W wieku 25 lat, kiedy powinien rozwijać skrzydła, rozkoszować się miłością, śpiewem skowronków latem i ślicznymi dziewczynami, Keats czuł się już wtedy trupem. Wydawało się mu, że znajduje się jakby w grobie i dlatego też zwrócił się ku dniom minionym, jednemu świadectwu postaci, której historia już się zakończyła. Taki właśnie był, komponujący wspomnienia, patrzący na świat oczami martwego człowieka.

Kiedy Keats miał ledwie dziewięć lat, jego ojciec spadł z konia i zmarł następnego dnia. Kilka lat później, u jego matki rozpoznano gruźlicę. Chociaż Keats opiekował się nią gorliwie, spędzając przy niej całe dni i noce, gotując i czytając dla niej, zmarła w 1810 roku, kiedy miał 15 lat. Przydzielono mu opiekuna, a niedługo później zabrano go z ukochanej szkoły z internatem i oddano na ucznia aptekarza. Praca okazała się nużąca, ale jednocześnie Keats, w wieku późnej adolescencji, odkrył w sobie rozmiłowanie do wspaniałej poezji, zwłaszcza liryki Spensera i Szekspira. Aby skończyć

naukę musiał wyuczyć się chirurgii. Dzień w dzień trzymał się w szpitalu przepełnionym fetorem i krwią, w którym nie doświadczył niczego poza cierpieniem. Kiedy tylko porzucił chirurgię i zajął się poezją, jego pierwszy poważny poemat, „Endymion”, został opublikowany w 1818 roku. Dwa z czołowych wówczas pism literackich zaatakowały utwór za brak wyczucia..

W tym czasie zmarł Tom, brat Keatsa, po długiej i bolesnej chorobie. Kiedy jeszcze żył Tom, Keats poznał miłość swojego życia, Fanny Brawne, i zaręczył się z nią. Jednakże szybko zdał sobie sprawę, że nigdy jej nie poślubi, ponieważ padł ofiarą tej samej choroby, która zabiła członków jego rodziny. Wiedział, że umrze nie zdążywszy zwieńczyć swojej żarliwej miłości.

Mogłoby się wydawać, że życie Keatsa powinno zaszcześcić w nim rozgoryczenie, ale mimo własnych problemów pozostał on wielkoduszny. Nie szukał ucieczki w zwyczajowych dla XIX wieku utopiach — chrześcijaństwie lub opium, nie zatracił się w alkoholu ani marzeniach. Chociaż, co niezbyt zaskakujące, poddał się ukłuciu poważnej melancholii (któż by się nie oparł, stając twarzą w twarz z jego nieszczęściami?), niemniej jednak nigdy nie popadł w użalanie się nad sobą czy niepohamowaną rozpacz. Przeciwnie, konsekwentnie przekształcał otaczający go mrok, wyrastający przede wszystkim z jego doświadczeń ze śmiercią, w życiodajne źródło piękna. Świat jest wspaniały, często powtarzał, ponieważ wszystko w nim przemija. Porcelanowa róża nie jest tak piękna, jak ta, która marnieje. Melancholia jest postawą najważniejszą wobec przemijającego czasu, jeśli pragnie się dostrzec piękno.

Keats zrozumiał, że cierpienie i śmierć to nie aberracje, które powinny zostać obłożone klątwą, ale niezbędne części pełnowymiarowego życia, osobistej historii, na którą składają się liczne skrajności kosmosu. Wyrzekając się klęsk i śmierci godzimy się na życie niepełne, pozbawione kreatywności i piękna. Keats przyjął swoją śmierć, a więc mógł żyć.

Przyjmując podwójną postawę — doznając śmierci a zarazem wykraczając poza nią - Keats cierpiał i jednocześnie wyzwolił się już od tego uczucia. Kwestię oddziaływania na siebie koherencji i inkoherencji rozwinął w jednym z najbardziej znanych listów, napisanym w 1819 roku: „Nie rozumiesz, że Świat Bólu i smartwień jest niezbędną szkołą dla Inteligencji, że tworzy Duszę?” Tymi słowami daje do zrozumienia, że abstrakcyjny rozum może się rozwinąć w postać odbierającą świat pełnym sercem tylko dzięki długotrwałemu okresowi smutku i cierpienia.

W innym znanym liście, tym razem z 1818 roku, Keats porównuje ludzkie życie do „okazałej Rezydencji z Wieloma Apartamentami.” Stwierdza, że aby rozwiązać wielką tajemnicę życia trzeba cierpieć „Nędzę i Zgryzołę, Ból, Chorobę i ucisk.” Poddając się tym dolegliwościom, przenosimy się z „Komnaty Dziewiczej Myśli”, obszaru naiwności, w ciemniejsze korytarze, rejony głębokich przeżyć. Dopiero tutaj możemy znaleźć natchnienie dla poezji, poezji, która bada niezgłębione sfery życia. Także w tym liście Keats pokazuje, że jest całkowicie świadomy okrucieństwa świata, lecz także, że jest gotowy przyjąć ten sam ból, który przepełnia wszystko dookoła. To tak, jakby przynależał do świata, ale był poza nim, doznawał smutku, ale także mógł wyjść poza niego.

W „Odzie do Melancholii”\* z 1819 roku Keats zachęca, abyśmy uśmieriali nasz smutek przy pomocy substancji odurzających, bo tylko one, jak "cień za cieniem, sen ci niosąc, gdy się skupią,/ Twej duszy czujną wiecznie boleść ci zagłuszają." Kiedy będziemy świadomi naszej mrocznej strony, może na nas spłynąć „przyptyw melancholii”, dogłębne doświadczenie tymczasowości życia, ale także jego piękna. Jednak z tym przyptywem melancholii sprawa jest skomplikowana. Może on spaść z nieba „podobnie chmurze, która łączy kroplami,/ Wraca życiu wędrujących kwiatów mdłe postacie”, a więc melancholia przynosi nie tylko łzy, ale i orzeźwiający opady. Tak też się dzieje, deszczowa chmura „wzgórz zieleń kwietniowymi kryjąc całunami” przynosi życie.

Jak inaczej możemy nazywać ten przyptyw, jeśli nie głębokim doświadczeniem przynoszącym melancholię, jeśli nie niezwykłym uczuciem, które poprzez smutek łączy nas z wibrującym pulsem życia? Pozbawieni domu i szczęścia odczuwamy to, co najistotniejsze: nie zadowolenie czy pocieszenie, ale autentyczne współuczestnictwo w grze między śmierzającymi trupami a śpiewającymi lemurami. Ten „przyptyw” wprawia w drżenie nasze dusze.

Dopiero wprowadzeni w ten nastrój jesteśmy w stanie zrozumieć związek między pięknem i śmiercią. Keats radzi: „Nasyć smutek swój pięknem róży w brzasku poranka,/ Tęczę, którą rozbite o brzeg rodzą fale,/ Pełnią kształtów bogatych w kulistych peoniach.” Mówi dalej, że gdy nasza „kochanka” „spłonie gniewem”, powinniśmy ująć jej rękę „gdy drży w szale” i karmić otchłani naszego smutku „w jej oczu niezrównanych toniach.” Każde z tych zaleceń ukazuje jak melancholijna dusza doświadcza czegoś cudownego, ale także przelotnego. Tak wygląda związek między melancholią, pięknem i śmiercią.

Te powiązania prowadzą do kilku wniosków. „Wieczna boleść” przenikliwej melancholii może skutkować przejmującym doznaniem, „przyptywem”. Ten ważny moment wyrasta z poznania natury

rzeczy: Życie wyrasta ze śmierci, śmierć pozwala wzrastać życiu. To poznanie inspiruje melancholię, dodaje jej energii życiowej. Nasila też ból i podkreśla, że: Wszystko, nieważne jak piękne, musi zginąć. Melancholik nie szuka ucieczki, ale jeszcze bardziej docenia świat, ponieważ wie, że wszystko kiedyś umrze. Ciesząc się urokiem świata, melancholik sam pragnie tworzyć piękno, upamiętnić własne cudowne doświadczenie ulotności powabu świata.

Melancholia, w znacznie większym stopniu od zwyczajnych dolegliwości czy słabości woli, jest niemalże cudownym zaproszeniem do wyjścia poza banalny *status quo* i poszukiwania nieodkrytych jeszcze możliwości istnienia. Bez melancholii świat zamarzłby, stałby się tak przewidywalny i zimny jak metal. Jedynie z pomocą nieprzemijającego smutku ten umierający świat może się zmienić, ożyć na nowo i ruszyć do przodu.

Nie ma w tym metafizyki, nie jest to też jakieś czcze gadanie pokroju New Age. Wręcz przeciwnie, moje stwierdzenia idealnie pasują do naszego bylejakiego świata, o czym przekonujemy się każdego dnia. Kiedy, kierowani ułudą szczęścia, chwytamy się mocno takiej czy innej ideologii, świat nagle staje się statyczny i zwarty, ze sztywnym podziałem na to, co słuszne i na to, co niesłuszne. W ten sposób świat staje się nieciekawym, martwym. Jednak kiedy pozwalamy, aby melancholijny nastrój zagościł w naszych sercach, wszechświat, wcześniej martwy, powraca niespodziewanie do życia. Skończone prawa rozpadają się w nieskończone możliwości. Szczęście przestaje mieć znaczenie. Chcemy czegoś więcej: radości z życia. Melancholia jest jak iskra elektryczności, która wstrząsa nami, pobudza nas do życia.

Melancholia przeciwstawia się prostemu „albo-albo” *status quo*. Świetnie odnajduje się w niezbadanych miejscach wspólnych różnych opozycji, w „zarówno-jak i również”. Oferuje nowe spojrzenie na relacje między opozycjami, zwłaszcza tak krańcowo przeciwstawnymi jak życie i śmierć. Sprzyja poszukiwaniu i nazywaniu tajemniczych powiązań między antynomiami. Uwalnia nas od sztucznego ograniczenia do rzeczywistości aktualnej, przywraca nam niewinność i sprawia, że znów możemy zajmować się tym, co potencjalne. Taka chwila wytchnienia od zasady przyczyn-skutek odświeża nasz stosunek do świata, otwiera przed nami znakomite perspektywy, napędza energią nasze serca i umysły.

W istocie świat przez większość czasu jest nudny i poddany kontroli jakby z przyzwyczajenia. Wszystko wydaje się dobrze znajome, wyświechtane, powtarzalne. Wtedy pojawia się coś, co Keats nazywa przyływem melancholii i nagle nasza planeta znowu staje się ciekawa. Zastłona codziennej powtarzalności znika. Przed nami mieniają się nieznanne możliwości. Zostaliśmy wezwani, by przecierać niezbadane szlaki łączące nas z naszym otoczeniem. Wezwano nas, byśmy stali się kreatywni.

Dlaczego mimo tych wszystkich zalet melancholii psychiatrzy i psychologowie starają się „wyleczyć” depresję, jakby to była straszna choroba? Oczywiście osoby cierpiące na poważną depresję — ci, którzy mają skłonności samobójcze lub znajdują się na skraju psychozy — wymagają silnych leków. Ale co z tymi, których opanowała łagodna lub umiarkowana depresja? Czy ci potencjalni wizjonerzy i innowatorzy powinni eliminować melancholię przy pomocy pigułek?

Jeśli statystyki nie kłamią 15 procent Amerykanów jest nieszczęśliwych. Prawdopodobnie już niedługo, dzięki pomocy psychofarmaceutyków, melancholicy znikną zupełnie. Byłaby to niezrównana tragedia, porównywalna jedynie z zagładą kaszalota lub orła przedniego. Bez melancholików żylibyśmy w świecie, w którym wszyscy bezrefleksyjnie akceptowaliby *status quo*, w którym każdy byłby zadowolony z tego co otrzymał. Ziściłby się koszmarny sen warty pióra Philipa K. Dicka, powstałoby państwo policyjne Wiecznych Optymistów, kraina monotonii, która nie proponowałaby niczego nowego pod słońcem. Dlaczego zmierzamy w kierunku tak potwornego stanu?

Odpowiedź jest prosta: strach. Większość ukrywa się za maską uśmiechu, ponieważ boi się stawić czoła zawilości i niejednoznaczności świata, jego straszliwemu pięknu. Pozostając bezpiecznie ukryci za maską sztucznego uśmiechu, tracimy szansę na spotkanie lęku towarzyszącego rozmyślaniu o tym, co może się zdarzyć, omijają nas ta niepokojąca chwila, podczas której nic nie jest pewne, kiedy jedna rzecz może nagle przybrać dowolną formę.. Mimo, że ten niepokój, zwykle przed śmiercią, jest w ostateczności przeżyciem radosnym, jest wezwaniem do kreatywności, to jednak na początku uczucie zawieszenia w nieprzeniknionej pustce trochę przeraża. Większość z nas zazwyczaj ucieka od takiego stanu, próbuje odwrócić uwagę od rzeczywistości, zatracić się w optymizmie. Przywdziewamy nieautentyczność jak maskę lub przebranie, które ma nas ochronić przed pustką.

Aby wychować społeczeństwo w poczuciu totalnego szczęścia trzeba rozwinąć kulturę strachu. Naprawdę chcemy odrzucić naszą odwagę dla zwykłej radości? Jesteśmy gotowi zrzec się najistotniejszej części nas samych dla spokojnego snu, chwili błogości? Musimy oprzeć się próbom uwiedzenia przez bezmyślne poczucie szczęścia i jakimś sposobem zachować nasz smutek. Musimy znaleźć sposób — nie będzie to łatwe — aby pozostać tym, kim jesteśmy, a jesteśmy melancholijni.

Doznając smutku, który jest tak samo konieczny jak oddech, musimy także zaakceptować fakt, że świat jest nam nienawistny: Jesteśmy wiecznie niekompletni, stanowimy odprysk jakiejś niepojętej całości. Nasza niedokończona natura — nigdy nie jesteśmy prawdziwie realni, zawsze stanowimy niejednoznaczną potencjalność — sprawia, że nasze życie to nieustanna walka, zmaganie, którego wynik jest nieznany. Ale ta pustka, która stanowi przedłużenie naszego życia, jest także naszym wybawieniem. Bycie ledwie częścią całości zmusza nas do ciągłej walki o transcendencję, do szukania wyjścia poza naszą naturę. Ta walka jest zawsze świadectwem wolności, wolności wyboru jednej drogi zamiast innej. Z jednej strony zmaganie to jest wyczerpujące — wymaga skupiania nieustannej uwagi na naszym tajemniczym i niestabilnym wnętrzu — ale z drugiej strony jest także fascynującym, nieustannym badaniem wyszukanych zagadek Bytu.

Wyrzekając się szczęścia wychodzimy naprzeciw uniesieniu. Niekompletność jest wezwaniem do życia. Fragmentaryczność jest przejawem wolności wyboru. Radość z powodu niemożności poznania wszystkiego w pełni sprawia, że możemy nieustannie wyobrażać sobie wzniosłość bez przyczyny. Obrzeża poznania są zarazem skrajem egzystencji. To jest właśnie to uniesienie, które powoduje książka będąca na ukończeniu, ale która może nigdy nie być ukończona, swoisty niedoskonały i wewnętrznie sprzeczny tekst, nieustannie powracający jak zmierzch.

\*Fragmenty wiersza J. Keatsa „Oda do Melancholii” w tłumaczeniu Gustawa Wolffa.

[Tekst oryginału](http://laurayoung.typepad.com/nosafedistance/2010/10/on-melancholy-death-and-the-richness-of-life.html) (<http://laurayoung.typepad.com/nosafedistance/2010/10/on-melancholy-death-and-the-richness-of-life.html>).

Esej pochodzi z książki Erica G. Wilsona pt. *Against Happiness: In Praise of Melancholy*.

**Eric G. Wilson**

Profesor literatury angielskiej na Wake Forest University.

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 10-08-2011)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,2113) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,2113>)

Contents Copyright © 2000-2011 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2011 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane

w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest

zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)